Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 30. POZNAŃ, DNIA 23. LIPCA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Wyjątek z tłumaczenia Szekspira: *Kupiec wenecki*, przez Ulricha.

(*Dokończenie.*)

Szajlok.

Wszystko to prawda, O przemądry sędzio!
Jakżeś jest starszy niżli się wydajesz!

Porcia.

Odkryj więc łono.

Szajlok.

Tak, odkryj pierś samą:
Tak mówi oblig; czy nie, zacny sędzio?
Najbliżéj serca: to są pisma słowa.

Porcia.

Czyli masz wagi, by mięso odważyć?

Szajlok.

Mam je gotowe.

Porcia.

Zarazem, Szajloku,
Miéj w pogotowiu dobrego chirurga,
By go krwi ujście o śmierć nieprzywiodło.

Szajlok.

Czyś i to także w obligu wyczytał?

Porcia.

Nie, nie w obligu, lecz, dobry Szajloku,
Zrób to przez proste uczucie ludzkości.

Szajlok.

Niemogę znaleść nic o tém w obligu.

Porcia.

Antonio, maszże jeszcze co powiedzieć?

Antonio.

Słów kilka. Umrzeć jestem już gotowy.
Bądź zdrów, Bassanio! daj mi twoję rękę,
Niech dola moja łez ci niewyciska.
Uznaj w tém wszystkiém fortuny przychylność
Większą jak zwykle. Kiedy bowiem inni
Ruinę własnych bogactw przeżyć muszą,
Zapadłém okiem, z pomarszczonėm czołem
Patrzeć na nędzę samotnéj starości;
Mnie na raz z długich wyzwala męczarni.
Polęć mnie pięknéj żony twéj pamięci;
Opowiedz koniec processu Antonia;
Mów, jak cię kochał; powiedz, jak umierał;
A potém spytaj, niech rozsądzi sama,
Czyli Bassanio przyjacieli niemiał?
Nie żałuj, proszę, że stracić mnie musisz;
Ja dług twój płacąc, życia nieżałuję;
Byleby Żyd ten pchnął nóż dość głęboko,
Dług mój natychmiast chętną spłacę myślą.

Bassanio.

Wiesz, mój Antonio, że pojąłem żonę,
Która mi droższa, niźli życie moje,
Lecz życie, żona, ale świat ten cały
Mniéj mi są drogie od twego żywota,
I chciałbym wszystko utracić, poświęcić
Djabłu Żydowi, byleby cię ocalić.

Porcia.

Gdyby twa żona ofiar tych słyszała,
Niezbyt, jak mniemam, byłaby ci wdzięczną.

Graciano.

I ja mam żonę, którą z duszy kocham,
Lecz chciałbym, żeby w niebie teraz była,
Błagała Boga, by psa tego zmiękczył.

Nerissa.

Dobrze, że robisz ofiarę zaoczy,
Boby inaczéj wojna była w domu.

Szajlok (*na stronie*).

To chrześciańscy męże. Ja mam córkę;
Wolałbym, żeby z rodu Barrabasza
Dostała męża niż Chrześcianina.

(*głośno*)

Lecz czas tracimy na próżno. Do rzeczy.

Porcia.

Funt jego mięsa własnością jest twoją,
Tak prawo mówi, potwierdza Trybunał.

Szajlok.
Najlepszy z sędziów!

Porcia.
Wydzielisz go z piersi:
Tak prawo mówi, potwierdza Trybunał.

Szajlok.
O sędzio wielki, uczony! — Do dzieła.

Porcia.
Wstrzymaj się chwilę — jedno jeszcze słowo.
Układ niedaje ci krwi ani kropli;
Funt jeden mięsa, powiada wyraźnie.
Weźże co twoje, weź jeden funt mięsa;
Lecz biorąc mięso, jeżeli rozlejesz
Krwi chrześciańskiéj choć jednę kropelkę,
Wszystkie twe dobra prawo konfiskuje
Na rzecz Wenecyi.

Graciano.
Uczony sędzia! Szajlok, co za sędzia!

Szajlok.
Czy to jest prawo?

Porcia.
Pokażę artykuł.
Sprawiedliwości domagasz się ciągle,
Dam ci jéj więcéj, niżeli sam żądasz.

Graciano.
Uczony sędzia! hę, czy nieuczony?

Szajlok.
Więc wolę, niech mi potrójnie zapłaci
I z Bogiem idzie.

Bassanio.
Oto są pieniądze.

Porcia.
Nie, sprawiedliwość musim mu wymierzyć —
Chciał jego mięsa, niechże mięso weźmie.

Graciano.
O wielki sędzia, Żydzie, wielki sędzia!

Porcia.
Dla tego śpiesz się zabrać twoje mięso,
Lecz strzeż się rozlać krwi, albo wydzielić
Mniéj albo więcéj jak jeden funt mięsa;
Bo jeźli weźmiesz albo mniéj lub więcéj,
Choćby o setną tylko cząstkę grana,
Ba, choćby tylko i o włosa wagę,
Czekają na cię śmierć i konfiskata.

Graciano.
O, drugi Daniel! Żydzie, drugi Daniel! —
Teraz, niewierny, złapałem cię w szpony.

Porcia.
Dla czegoż zwlekasz, Szajloku? do dzieła.

Szajlok.
Zwróć mi kapitał, a przestanę na tém.

Bassanio.
Mam już gotową odliczoną summę.

Porcia.
Niechciał jéj przyjąć w sądu przytomności,
Sprawiedliwością niech się teraz cieszy.

Graciano.
O, Daniel, Daniel! Żydzie, drugi Daniel!
Dzięki ci, Żydzie, żeś mi poddał wyraz.

Szajlok.
Niemogęż dostać choćby kapitału?

Porcia.
Nic, oprócz tego, co oblig waruje.
To wziąść ci wolno na własne ryzyko.

Szajlok.
A więc niech djabeł zapłaci mu za mnie,
Ja odstępuję od praw mych.

Porcia.
Nie odchódź.
W weneckich prawach stoi zapisane,
Iż cudzoziemiec każdy, przekonany,
Że lub pośrednio albo bezpośrednio
Godził na życie Wenecyi mieszkańca,
Dóbr swych połowę na rzecz jego traci,
Drugą połowę skarb publiczny bierze,
A nawet życiem samém winowajcy
Doża dowolnie może rozporządzić.
Prawo to, Szajlok, ciebie dziś potępia.
Bo z procedury całéj się wykrywa,
Że i pośrednio, nawet bezpośrednio
Obywatela życiu zagrażałeś.
Dla tego wyżéj przytoczona kara
Dosięga ciebie i twych posiadłości.
O miłosierdzie błagaj u stóp Doży.

Graciano.
Błagaj, niech ci się pozwoli obwiesić.
Ale straciwszy cały twój majątek,
Niemasz pieniędzy na kupno postronka,
Przeto publicznym kosztem będziesz wisiał.

Doża.
Byś uczuć naszych sam poznał różnicę,
Przód niżli błagasz daruję ci życie.
Twych dóbr połowę zabiera Antonio;
Część, która wpływa do publicznéj kassy,
Pokorą jeszcze możesz uratować.

Szajlok.
Nie, zabierz życie; niebłagam o życie.
Dom mi zabierasz, zabierając słupy,
Co go wspierają; wydzierasz mi życie,
Z rąk wydzierając moich to, czém żyję.

Porcia.
Cóż ty chcesz zrobić dla niego, Antonio?

Graciano.
Daj mu postronek gratis, lecz nic więcéj.

Antonio.
Gdy sądu wola, kiedy łaska Doży
Wraca Żydowi połowę majątku,
Ja z mojéj strony na tém poprzestanę,
Że będę drugiéj używał połowy,

Zwrot po méj śmierci temu zapewniając,
Który niedawno córkę jego wykradł.
Dwa jednak inne dodaję warunki:
Naprzód, ażeby przechrzcił się natychmiast,
Powtóre, żeby urzędownie stwierdził
Donacyą wszystkich swoich posiadłości
Córce i swemu synowi Lorenzo.

Doża.
I obu musi dokonać warunków,
Lub odwołuję słowo przebaczenia.

Porcia.
Żydzie, czy na to przystajesz?

Szajlok.
Przystaję.

Porcia.
Hej, sekretarzu, wygotuj akt śpiesznie.

Szajlok.
Proszę pozwolić mi odejść na chwilę;
Czuję się słabym; akt przyślicie za mną,
W domu podpiszę.

Doża.
Możesz się oddalić, i t. d.

Literatura krajowa

Nowsze piśmiennictwo polskie.

Żyjemy w czasach, gdzie życie publiczne zlewać się zaczyna z literaturą i przechodzić w nią niejako — i zdaje się, że w przyszłości związek ten w coraz ściślejszym stósunku trwać będzie; bo im więcéj będzie miał ogół udziału w radzeniu nad sprawą państwa, tym obszerniéj zamiary wszelkie roztrząsane będą po pismach, które jedynie organem nazwać można, przemawiającym *na raz do całości* narodu. Schodząc od ogółu do narodu naszego i uważając położenie nasze, nikt pewnie przeczyć nie będzie, gdy powiem, że całe życie nasze publiczne wygasłe i uleciałe z dymem, jeżeli gdzie ostatnią zostawiło iskierkę, z któréj kiedyś rozdmuchany wybuchnie płomień, to ją zostawiło w literaturze, która z wszystkiego, cośmy mieli, jedna nam tylko pozostała. Wszystkiego tego nie dowodzę, bo dosyć spojrzeć na rzeczywistość, by się o tém przekonać, jak w całości tak w pojedyńczych indywiduach, których zazwyczaj, jeżeli nieobchodzi nauka i oświata narodu, nic nie obchodzi, — ani ojczyzna ani przyszłość ludzkości.

W literaturze więc zamknęło się życie nasze. Gotowanie się do dokonania posłannictwa naszego, które tak wielkie, tak przeważne, tak ogromne! tylko w literaturze i przez literaturę odbywane być może. W niéj też tylko jedynie dojrzeć można, ileśmy się już zbliżyli do wytkniętego kresu, co wtedy tylko bez złudzenia poznane być może, gdy bez złudzenia i całość i kierunek piśmiennictwa naszego przed oczyma mieć będziemy.

Wszystkie te uwagi zmierzają do tego, aby się odbiło jaśnie i wyraźnie wielkie znaczenie u nas i piśmiennictwa i pojmowania jego. Gdy tymczasem z doświadczenia nikomu nie tajne, że bodaj o czém tyle rozmaitych zdań panuje, ile o literaturze naszéj; gdy w niéj jedni samą oryginalność, twórczość, natchnienie, miarę, zdrowe dociekanie rzeczy i t. d. wychwalają, mając ją za — posłanie z laurów, gotowe, by się na niém ku spoczynku tylko rozłożyć: inni przeciwnie nic w niéj widzieć nie chcą; zdaje się rzeczą ani zbyteczną, ani małéj wagi, gruntowniéj rzecz zgłębić i bezstronnie wypowiedzieć, jak nam się też literatura przedstawia. Celem jest naszym, z uważania tego literatury następne rezultaty wyprowadzić: w jakim kierunku rozwijała się literatura nasza nowsza, jaki bierze obrot, co dopełnione przez nią zostało, co do dokonania zostaje — czego przedewszystkiém jéj potrzeba, jak tego dostąpi? Odpowiedź na wszystkie te pytania będzie więc celem i treścią rozprawki naszéj.

Chcąc krok w krok za rozwijającą się literaturą dążyć, nie tracąc jéj z oczu w żadnym momencie, i nie zamierzając zbyć rzeczy na kilku ogólnikach powierzchownie wyrzeczonych, dzielę ją w dwojaki sposób: najprzód podług tego, jak nam się objawiała *w czasie* i tendencyi, na massy albo gruppy; powtóre podług natury dzieł treść jéj stanowiących, na poezyą, nauki przyrodzone, ściśle, i t. d. Każda z mass zauważanych przez nas, inny będzie miała zakres działania, inną missyę — inną też zupełnie nosić będzie na sobie cechę: podług drugiego podziału będziemy dopatrywać, ile w każdéj gałęzi nauk uskutecznione zostało; którą celujemy.

A więc jako pierwszą taką gruppę oznaczamy ów moment walki poezyi narodowéj z dążnością naśladowniczą. Czas to w historyi naszéj nadzwyczaj ważny i stanowczy. Pierwsza chwila drgnięcia fantazyi w całym narodzie, dotąd *w umyśle* uśpionéj, objawiającéj się tylko w żywém słowie, śmiałém, jak błyskawica piorunném, ale też tak momentalném jak błyskawica, w niepohamowanéj jak wicher ręce, wogóle, w życiu tylko publiczném dawnych przodków naszych. Fantazya taka minęła, śladów po niéj nie pozostało; z kilku tylko ułamków skąpo przechowanych odgadujemy, jak Polak żył, bił, z królem swym mówił — — z resztą życie ich dla nas samych, dziedziców ich ziemi i sławy — zagadką! Tu przeciwnie — poraz pierwszy zbudziła się w narodzie fan-

tazya wiecznie trwała, prawdziwa, fantazya więcéj wolna, mniéj swywolna i ulotna; reprezentantem czasów owych Brodziński, mianowicie Mickiewicz, siedliskiem Wilno. Oznaczając Wilno za przodkujące w oświacie, nie chcemy powiedzieć, że w innych stronach Polski nie było wtedy umysłowego życia: to tylko rozumiemy, że w Wilnie centralizowały się głównie dążności owoczesne. Przewagę tę nadały mu stósunki, w jakich był uniwersytet wileński do innych, np. do warszawskiego, i mężowie z kateder do młodzieży przemawiający w duchu, którego skutki rok 30ty okazał. Dość tu wspomnieć Lelewela. Jako zadanie gruppy owéj wileńskiéj oznaczamy więc: *wyswobodzenie myśli i formy rodziméj* (na ostatniéj mianowicie kładziemy akcent) *z więzów obczyzny.* *)

Siła wileńska zawołała do narodu głosem poezyi, poezyi chociaż nieświadoméj siebie jeszcze i wię-

---

*) Jasno i wyraźnie tu rozróżniać trzeba myśl samą od formy, w jakiéj się pierwsza objawia. Literatura nasza od najdawniejszych czasów była zawsze narodowa. Nie łatwo bezwątpienia dojrzyć téj narodowości, mianowicie w poezyi naszéj dawniejszéj: ale żadną miarą nie wypada ztąd, ażeby zaraz ogłosić, że jéj wcale nie było. Dla tego negujących w ogóle literaturę dawniejszą i gardzących nią jako naśladownictwem bez duszy, mam zawsze w podejrzeniu, że albo nie poznali i nie zgłębili téj tak przez nich ganionéj literatury, albo nie wiedzą w ogóle, co jest wszelki rozwój jak w historyi tak literaturze. — Nie będę już obstawał za prozą, bo tu polskość i rodowość tak w oczy bije, że trzebaby chyba nie chcieć jéj widzieć, by jéj nie dojrzeć (wymowa!) ale za poezyą słów parę wyrzec nie zawadzi. Jak w Kochanowskim, tak Zimorowiczu i innych przedniejszych poetach naszych dawniejszych widać, że to, co jest duszą w wszelkim utworze sztuki, nadającą mu początek, życie i prawdę, ta nieskończoność w formie skończonéj, ograniczonéj, (która forma właśnie była cudzoziemską,) jest tak naszą, tak szczeropolską, tak pochodzeniem z żywiołu narodowego napiętnowaną, że po pierwszém wskroś przeniknieniu utworu *w jego całości i organizmie*, i po stłuczeniu, zgruchotaniu — rozdarciu téj z zewnątrz do Polski przyniesionéj formy, ukrywającéj w sobie jak skorupa lub suknia ową ideę — duszę narodową, natychmiast zabłyśnie nam na dnie cudzoziemskich skorup myśl swojska, rodzinna; lub (aby użyć drugiego porównania) stanie przed nami, po rozdarciu na poły i zrzuceniu z siebie Horacyuszowskiéj togi, Kochanowski w kontuszu, z karabelą i twarzą polską.

Nie w braku więc narodowości myśli — bo tę mieliśmy zawsze — ale w braku narodowości formy dopatrujmy téj niedostateczności, i że tak powiem, niedokładności poezyi przeszłéj. Komukolwiek wiadome, czém jest forma w sztuce, ten pewno mnie nie posądzi, że chcę jakimś niezasłużonym blaskiem i wyniesieniem uświetnić utwory dawniejsze. Forma jest tém, co, przeniknione ideą, stanowi piękno. Idea goła, nie osłoniona formą, będzie suchą, ogólną prawdą w dziedzinie filozofii, dla poezyi straconą. A więc wielkie jest znaczenie formy. Dla idei polskiéj formy polskiéj nie było; dla tego powiedziałem, że poezya owoczesna była *niedostateczna* i *niedokładna*, t. j. niedostatecznie i niedokładnie, niedosyć wskróś i wnętrznie, nie dosyć żywo i gorąco przenikała się idea z *nieodpowiednią sobie* formą; i dla tego to czytając utwory ówczesne, nie takich doznajemy wrażeń, pod wpływem jakich podziwiamy arcydzieła dzisiejsze. Lecz z drugiéj strony słabego tego i niedostatecznego przeniknienia się idei z formą potępiać i ganić z góry nie można. Nigdy zapominać nie należy, że wszystko odbywa się w czasie, że wszystko postępuje i doskonali się. Zresztą — ni czas, ni stan oświaty, ni forma państwa, ni całe życie, jak publiczne tak prywatne było wtedy potemu, by Polacy mieli wytężyć całą siłę ducha w sztuce. Życie rycerskie, szlacheckie, wojenne; stan republikancko-arystokratyczny; zupełny brak stanu średniego, miejskiego; poddaństwo i niewola gminu, z ciemnotą najokropniejszą połączona — cóż może mniéj sprzyjać i wyraźniéj leżyć zaporą i murem nieprzeskocznym wszelkiemu kształceniu się sztuk pięknych? Wszyscy mieli udział w sprawach państwa: okoliczność ta sprzyja wymowie, to téż wymowa kwitła w Polsce jak bodajgdzie. Inaczéj z sztuką. „Rzeczywistość wymaga ruchu, sztuka spoczynku;“ a któryż szlachcic polski lubował się w spokojném życiu? Wyżéj wspomniana fantazya życia odgrywa tu wielką rolę. Na co im było opiewać zmyślone awantury i sprawy rycerskie, kiedy wolność i swywola nie tylko pozwalała, ale nawet nakłaniała w rzeczywistości wszystko wykonywać, do czego tylko rozbujała wyobraźnia skłonić mogła. Któż więc miał śpiewać? Niemiec mieszczanin? Chłop? Ach! ten śpiewał — pracując, potem i łzami użyźniając oraną przez siebie rolę; śpiewał — tak rzewnie, tak ku sercu wymownie! ale któż go słuchał? Jak skromna, pnąca się po ziemi powoju gałązka, tak roznosiło się echo smutnéj piosnki jego po sielskich nizinach: ale wznieść się wyżéj nie było mu wolno. — A więc jak z jednéj strony małe posłannictwo poezyi w owym czasie, tak z drugiéj mały wpływ jéj na naród, małe znaczenie, małe poważanie, i powolniejszy téż postęp w doskonaleniu się jéj.

Dziś — wszystko w przeciwnym stósunku. Ustał stan rzeczy, wytknięty przez nas jako nieprzyjazny doskonaleniu się sztuki. Cała postać okoliczności zmieniona. I to jest *w części* przyczyną zbudzenia się fantazyi umysłowéj w narodzie (mówię w części, bo postęp ogólny ducha narodu najgłówniejszym był, jest i będzie wszystkiego warunkiem.) Poeci nasi dawniejsi byli ludzie lubiący zacisze domowe, tak, iż usunąwszy się od zgiełku rządu, woleli pędzić życie wiejskie w modrzewiowym dworze, w towarzystwie Hanny, lub pod rozłożystą lipą z „pisanym“ dzbanem: a dziś któż utrzymuje życie narodu, kto myśli nad jego losem, kto — powiedzieć mogę — stoi na czele narodu? Czy nie poeci? —

Działanie massy wileńskiéj jest tym punktem widocznym, od którego zaczyna się okazywać wielkie powołanie poezyi u nas. Warunkiem uczynienia poezyi zrozumiałą dla narodu, było roztrzaskanie raz na zawsze formy obcéj i przyobleczenie idei narodowéj, oddawna objawiającéj się poetom polskim, w formę nową, prawdziwie jéj odpowiednią, aby odtąd obie złączone, zlane, żywe sobą — (jedna bez drugiéj byłaby martwa) zieleniły życiem wiecznem jako *piękno* boskie, wieczne, niezmienne — prawdziwa nadzieja nasza.

céj bezpośrednio z natchnienia płynącéj, ale huczącéj całą przeszłością narodu śpiącego w grobie wieków, by wejrzał w siebie — i więcéj silna przeczuciem, niż wiedzą dokonała celu i oddała czasom następnym do dalszego rozwijania to, co wywalczyła na wolność.

Rewolucya w świecie politycznym zmieniająca postać rzeczy, i literaturze zupełnie inny nadała kierunek. W jéj skutku podzieliła się ludność myśląca polska na pozostałych w kraju i na emigracyą; i w tém miejscu moment drugi literatury nowszéj się rozpoczyna. Pozostali w kraju, jakkolwiek liczbą i zasobami materyalnemi celowali bracię tułającą się w emigracyi, bez wahania się jednak ustąpić musieli pierwszeństwa; i tak emigracya zaczęła być głową myślącą nad narodem i organem upoważnionym od narodu, a działanie jéj tym było gorliwsze, nieustanniejsze i śmielsze, im bardziéj przekonywała się, że nie sama Polska na nią patrzy. W ogóle trzy kierunki okazują się wszystkich dążeń emigracyjnych: 1szy. Poezya rozwijała się coraz pełniéj, treściwiéj, głośniéj, w czém właśnie widać kontynuacyą zaczętéj przez pierwszą gruppę tendencyi — w poetach widać przy coraz górniejszém wzniesieniu coraz pewniejszą świadomość i potrzeb narodu i czasu, im téż zawdzięczamy to wzbicie się poezyi, które po dziś dzień obce narody w nas podziwiają. Drugi i trzeci kierunek, zupełnie sobie przeciwny, podług tego, jak umysły, składające emigracyą, były sobie przeciwne. Jeden z duchem czasu postępujący, drugi wstecz dążący zupełnie, usiłujący opruszyć oczy narodu całą pleśnią ubiegłych wieków, aby ich nie raził blask postępu — tendencye obiedwie, natarczywe i zajadłe, zaczęły obok siebie i przeciw sobie coraz silniéj i zapalczywiéj występywać. Pierwsza strona poznawszy czas, w którym żyje, i wymagania jego, dopatrzywszy przyczyn tylu nieszczęść uciskających naród, oceniwszy prawo ludzkości i człowieka, poczęła w imieniu Równości i Wolności obalać stare przesądy tak familijne jak polityczne, i niedługo zwróciła ku sobie oczy, serca, i życzenia całego narodu, tém chętniéj pokładającego w niéj całą swą ufność, że otworzyła mu przyszłość żywą, szczęśliwą — nie przez pomoc z Bógwiekąd, nie przez spuszczanie się, nie przez pacierze; ale przez samodzielne i wolne działanie. Kierunek przeciwny chciał także być zaciętym, i jest nim podobno dotychczas; ale całe jego usiłowanie nie jest niczém więcéj, jak zabarykadowaniem się za spróchniałemi wrotami, które póty tylko trwać będą, póki ich kto silném nogi pchnięciem nie rozsypie w próchno. Zresztą nie wiele już sów za niemi siedzi: komu odwaga wznieść głowę w górę i spojrzeć ku słońcu, ten je opuszcza; a te pare puhaczy, co upornie za niemi szepcze pacierze, okrywa czas coraz większą śmiesznością.

Taki jest zarys ogólny, jak nam się emigracya przedstawiała. Uważającemu usiłowania większości emigracyi, zostającéj w harmonii z duchem czasu, okazuje się, że powołanie, cel i dokonanie jego było *wyzwolenie narodu i opinii jego z pod przemocy* *s w o j s k i c h*, *średniowiecznych zabobonów*. Emigracya wykolebała nas na ludzi wolnych samodzielnych, znających całą wartość naszą, przekonanych, że tylko wola nasza jest dla nas zbawieniem, — wola rozsądna, prawdziwie wolna, wola ogółu. Gdyby pisma emigracyjne na prawdziwie naukowéj, umiejętnéj, racyonalnéj opierane były podstawie, ustalone na przyczynie w głębi ducha dojrzanéj; skutki ich byłyby tym świetniejsze; ale i za to, co zdziałała, godna wdzięczności. Na historyą przeszłości zapatrywała się, z niéj wydobywała nauki i sprawiła to, co do wyswobodzenia z pod przesądów swojskich, co massa pierwsza przedrewolucyjna uczyniła w wyswobodzeniu z pod przesądów obcych.

Ale nadeszły czasy, w których przeżyła się emigracya. Dokonała, co było na nią włożone; dzień po dzień ubywać jéj zaczęło członków, nędzą i laty zsiwiałych: — drobnieje, i już jakby echem tylko przemawia do narodu.

Naznaczamy trzecią gruppę literatury, wracającéj kolejno do starych siedlisk ojczystych. W tym momencie jesteśmy właśnie: już tu nie chodzi o walkę, by myśl nową, postępową, wyrwać z pod krępującéj ją mocy: wszystko już wyzwolone, gotowe; dziś staraniem naszém być ma, przejętą literaturę daléj rozwijać i uzupełniać w duchu tym, w jakim do życia wywołaną została, i przez jaki zakwitła. Teraz wejrzmy, jak zadaniu temu odpowiadamy. Jeżeliby kto pytał, o miejsce, koncentrujące w sobie promienia czynności dzisiejszego ducha, trudnoby mu było stanowczo na to odpowiedzieć. Nie można nie widzieć ruchu literatury ani w poznańskiém, ani w Warszawie, ani w Galicyi, ani w ruskich prowincyach; wszędzie pisma peryodyczne, wszędzie nie brak na mężach czynnych, dbałych o stan oświaty okolic swoich; owoce ich działania, według stósunków zewnętrznych, mniéj więcéj wydatne. Chcąc jednakże jakieżkolwiek stopniowanie w tém bezkrólewiu literackiém oznaczyć, rzekłbym, że najciemniéj szarzeje jeszcze w wschodnich stronach Polski. Znającemu stósunki stron owych nie powinno dziwną wydawać się rzeczą, jeżeli czasem podobnie odezwie się kto, jak Beyła niedawno. Kraszewski cały ruch utrzymuje: biada, gdy go nie

stanie! Prowincyą, stojącą na czele, jest niezawodnie poznańskie; nie tak dla czynności mieszkańców i obywateli (*bo ci do wschodnich braci swoich dosyć jeszcze podobni*), jak raczéj dla szkół, większéj wolności cenzury, większego zbliżenia do krajów oświeceńszych, uniwersytetów i t. d., słowem, dla stósunków przypadkowych, zewnętrznych. Poznańskie jest i będzie kanałem głównym oświaty, rozsyłającym na wszystkie strony Polski dzieła tak w poznańskiém jak i *nie* w poznańskiém pisane. Tygodnik literacki jest przedsięwzięciem jedném z najważniejszych — wpływu, jaki wywarł, niepodobno nie widzieć. Wielką chlubą byłoby dla Poznania, gdyby Tygodnik nie był organem *całéj* Polski, zbiorem artykułów ze wszystkich stron nadsyłanych! Jakkolwiekbądź, jemu tylko poznańskie zawdzięcza tę hegemonię literacką, jaką *choćby tylko z względu postępu w zdaniach* inne województwa w niém uznać powinny.

W tém rozstrzeleniu literatury jak największy nieład, niewiadomość o sobie, nie czucie się w całości, gonienie za indywidualnie upatrzonemi celami, ogólnie mówiąc, zupełny brak naukowego postępu. Prowincye polskie stopniem oświaty tak się od siebie różnią, iż śmiało powiedzieć można, że wieki w czasie i tysiące mil w przestrzeni je od siebie dzielą. Literatura np. galicyjska tak ogółowi u nas znana, jak hiszpańska. Korzeniowski, poeta jeden z najpierwszych, bodaj dziesięciu u nas znalazłby czytelników! Zaradzenie nieładowi temu konieczne. Od niego zależy, czy ta stagnacya literacka dłużéj potrwa, czy nie. Wiem sposób na tę szkodliwą sprawie naszéj chorobę — ale nie chcąc sam siebie wyprzedzać, teraz go nie wymienię. Sam on się późniéj wykaże, gdy podług drugiego podziału do obecnych chwil się zbliżymy. A więc przystępuję do drugiego tego podziału. Zdaje się, że dostateczne będzie sprowadzenie wszystkich pomysłów ducha, jak się takowe objawiają w piśmie, do trzech głównych kategoryj: Literatury myśli, L. nauk pozytywnych (przyrodzonych, fachowych, historycznych etc.) i Literatury sztuki. (Może się niejednemu podział taki wydawać będzie dziwnym i niezręcznym, tak, iż lepiéjby było trzymać się zwykłego podziału na prozę i poezyą. Uwaga ta tém więcéj ma prawdy za sobą, że nauki ścisłe (L. myśli) i nauki przyrodzone etc., tak łącznie z sobą się wiążą, iż jednych bez drugich uważać wcale nie można. Wiedząc o tém, zatrzymuję jednakże mój podział, z téj jedynie przyczyny, aby w tém większém rozszczególnieniu, rozgatunkowaniu uważać literaturę. Proza jest wyraz zanadto ogólny; część literatury, którą oznacza, niedojrzana od razu okiem. Każda z trzech tych rodzajów literatury ma dwie strony: teoretyczną i praktyczną. I tak Lit. myśli obejmuje z jednéj strony filozofią w jéj ogólnéj abstrakcyi, z drugiéj zastósowanie takowéj: jako filozofią prawa, sztuki, religii, etc.; daléj: pedagogikę, ekonomią polityczną i samąż politykę. Literatura nauk przyrodzonych okazuje praktyczną stronę swoją w przemyśle w ogólności, a Literatura sztuki, choć nie w tym stósunku co poprzedzające, ma także drugą swoją połowę; to jest literaturę tak zwaną *piękną* — vulgo belletrystykę, ten chleb powszedni dla płytkich, kobiecych, łaknących umysłów, która to belletrystyka zawsze się pod nią podszywa.

Podzieliwszy tak literaturę, przechodzić będziem kolejno każdą z jéj części, uzupełniając to, co wprzód powiedziano o piśmiennictwie polskiém w ogólności, przez co tym jaśniéj okaże się stanowisko jego dzisiejsze.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Karykatury historyczne,

udzielone redakcyi przez J. J. Kraszewskiego.

Albertus.

Część trzecia.

Albertus znowu klechą.

(Dalszy ciąg.)

Ale Mistrz niedając się tłumaczyć, zaraz mu podchwycił:

„Nie wszystko bajki, *generose*. W Wieliczce napadli wasi na mieszczki w łaźni, i tęgiego je strachu nabawili. A tenże z waszych, co to w Lublinie na Krakowskiém przedmieściu w gospodzie, przyszedłszy kazał sobie dać piwa. Gospodarz wiedząc, żeby mu nie zapłacił, zaparł się, że go niema. Ten niewiele myśląc, kazał ze studni nabrać wody i nuż jego i gospodynią częstować garncem. Gospodyni była nie zdrowa, a przecież pić musiała, i gdy już któryś garniec tak nabrano, zeznał gospodarz, że ma pół beczki piwa. Krzyknął na ów czas Konfederat: „Dawajże go; niewiedziałem, że umiem cuda robić i że mogę tak prędko wodę w piwo odmienić. Powiemże ja i drugim o tém. A tak wypił owe piwo i nic nie zapłacił, nameczywszy ich jeszcze wodą.“

Słuchał opowiadania Konfederat coraz bardziéj zmięszany, jednak jeszcze się trzymał jako mógł. — „Ej! tym paniom w Wieliczce nic się nie stało; pożar-

towano z nich tylko napiwszy się, a one też nie od tego były, i więcéj tam śmiechu narobiły niż krzyku. Alboż to co złego znowu, że towarzysz piwo z wody jak w Kanie galilejskiéj uczynił?“

„Nie mieszajcie,“ rzekł Mistrz, „*sacra profanis.* Cale to co innego było w Lublinie, a co innego w Kanie. Ci wasi cudotwórcy tylko drapieztwem słyną, a brat brata się boi, syn ojca, stryj synowca, takie to teraz czasy. A do czegoż to przyjdzie jeszcze?“

Gdy tak gadają, nadeszli ubodzy i stanęli naprzód w sieni, pacierze mówiąc, aż dziada i babę gospodarz do izby wprosił.

Wszedł siwy dziaduś w łachmanach, o kuli, oszarpany, a baba za nim. Na powrozku u pasa miała garnek do kadzenia i czarów służący, a ożog w ręku także pono do czarów.

Wstąpiwszy na próg, dziad się odezwał:

„Pomagabóg paniątka!

„Wstąpiłem do was, życząc, żeby wasz dom wszystko złe mijało, a mianowicie owe uciski dzisiejsze, których, jakem stary, nie pamiętam nigdy. A niemałom ja stary, bo gdy była szarańcza, a nasi padli pod Bukowiną, już em ja świnie wónczas pasał. Nigdy przecie, nawet za Batorego wojen, niepamiętam tak wielkiego łanowego jak teraz. Mieli czém królowie płacić wojsku. Pomnę, kiedy szli pod Starodub, już em ja wówczas był ożenił się z tą babą, którą tu widzicie tak starą i zgrzybiałą. Ale gdybyście ją byli znali szesnastoletnią, była to pocieszna dziewoja. Do tańca zawsze zdrowa, chora do roboty, a z pachołki dworskimi do północka siadywała. Jeszcze powracając z karczmy, miała czas wstąpić do Kantora do szkoły. Ale co wam o tém prawić, paniątka! lepiéj to było wówczas, lepiéj! nie było takich poborów i stacyj, a jednak nas sąsiedzi jak dzisiaj nierwali i niesławy jak dziś nie było: że z niczém nasi z wypraw wracają i leżą bezczynni, niewiedzieć czego czekając.“

„Zasłużonego swego,“ szepnęła baba, spoglądając na wojaka.

„A poczekająż ruski miesiąc i to co mają stracą!“

„Co ty tam pleciesz,“ odfuknął Konfederat. „Co my mamy tracić? My wiele jeszcze dobędziem, jeśli nam tylko płacę oddadzą.“

Kantor ze śmiechem dodał: „Nie gniewajże się WMość na starego.“

„I ty smrodzie precz,“ krzyknął rozjątrzony żołnierz, „dam ja wam tu wszystkim franci nie długo.“

„A tak? tak ci to?“ zawołał sobie Mistrz, porywając się z ławy. „Terazże *omnes ad idem.* WMość nam wszystkim przymawiasz i szablą grozisz.“

„Ja,“ dodał dzwonnik, „dawno mówiłem, że go trzeba trącić tęgo za szyję, żeby się upamiętał. Nic nam przecie za to nie będzie.“

W tym momencie Kantor porwał Konfederata za ramię z tyłu, dzwonnik oderwał mu szablę, klecha poskoczył z pięścią do gęby. — Ten napad był tak jednomyślny, że mu się żołnierz nie miał czasu opierać.

„Długoż to,“ krzyczał Mistrz, „będziesz nas fukał i groził nam?“

„Czekajcież! puśćcie! ja się wam zaraz wytłumaczę. Wzięliście mi szablę, (krzyczał oblężony,) trzymacie za ramiona i pieniędzy szukacie w mieszku. Dajcież mi pokój!“

„O! jak to zaraz lżéj mówi!“ rzekł dzwonnik.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZBIÓR KRYTYCZNY
HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ

przez

M. Wiszniewskiego.

3 tomy. Kraków 1840—1841.

(*Dalszy ciąg.*)

„Trzymał prawdę w garści dla widoków osobistych,“ zarzuca autor Gallusowi; ale to wcale niesłuszny zarzut. Jeżeli autor przez te słowa rozumiał, iż Gallus o tyle tylko wyjawił prawdę, o ile mu to nie mogło być szkodliwém, bo trudno owo jego zdanie inaczéj sobie tłumaczyć, to się bardzo pominął z prawdą, i niesprawiedliwie skrzywdził charakter poczciwego Marcina. — Cóż on bowiem utaił złego rozumie się *umyślnie*? Powinienby był autor zdanie swoje wykazać mocnemi dowodami. — Ale co to autora spowodowało do przypisania Gallusowi widoków osobistych? Może następujące słowa Gallusa, (w dedykacyi do trzeciéj księgi str. 243): „Insuper illud, *causa dei, causaque Poloniae,* provideat, vestre discrecio probitatis, *mercedem* tanti laboris impediat vel odium vel occasio mee cujuslibet vanitatis. Nam si bonum et utile meum opus *honori patrie* a sapientibus judicatur, indignum est et inconveniens, si consilio quorundam artifici *merces* operis auferatur.“ Tu prawda wyraźnie upomina się o *jakąś* nagrodę. Już i w dedykacyi do pierwszéj księgi coś podobnego czytać się daje (str. 8): „nostrum vero laborem laborisque *talionem* (nagrodę) vestre discrecionis arbitrio fiducialiter committamus.“ Lecz nie wiedzieć, *jakiegoć rodzaju* ma być ta nagroda. Pospolitéj nagrody,

t. j. pieniędzy, albo tym podobnego nadania, udzielanego mu z łaski osób, którym przypisał swoje dzieło, albo dla których je wygotował, *podobno* nie żądał Gallus; ponieważ do marności ziemskich czyli dóbr przemijających, sam nie czuje wielkiego pociągu, bo chociaż jeszcze w dedykacyi do drugiéj księgi (str. 129) życzy duchownym, którym dzieło swe oddał w opiekę, by zato wszechmocny Bóg obdarzył ich dobrami *doczesnemi* jako i wiecznotrwałemi 1), przemawia jednak w dedykacyi do trzeciéj księgi (str. 237) w taki sposób: „Szanownym duchownym książęcym jako i innym poczciwym księżom w Polsce, godnym wspomnienia, niniejszego dzieła autor: „„Tak to przemijają „„dobra doczesne, iż należy mimo puściwszy marności chwycić się (trwałości) tego, co trwa wiecznie 2).“‚‘ Nie masz więc wyraźnie oznaczonego rodzaju nagrody, jakiéj on wyglądał; zatém się téż tylko dorozumiewać jéj można; zdaje mi się, jakoby Gallus starał się o nagrodę zgodną z skromnością i uczciwością swego charakteru. Rozumiem, iż pragnął sobie tego, żeby mu się praca wynagrodziła tém, iżby dzieło jego czytaném było w szkołach i na dworze królewskim. Na ten wniosek naprowadziły mię same słowa Gallusa: „mundani reges et principes bellis triumphalibus et victoriis sublimantur . . . . gloriosum est, in *scolis vel in palaciis* regum ad ducum triumphos vel victorias *recitare*.... milicie vel victorie regum ac ducum ad virtutem militum animos accendunt *in scolis* vel *in capitoliis recitate*,“ (str. 241).... „Constat ergo ex hiis superius approbatis, rebus gestis Polonorum principum in vacuum non (?) *recitatis*; constat quoque vestro judicio confirmandum, vero presens opus *interprete recitandum*.“

1) Igitur opusculum, almi patres!.... suscipiat et comendet excellens auctoritas et benevolencia vestre mentis, quatenus deus omnipotens bonorum „temporalium“ et eternorum vos amplificet incrementis.

2) Capellanis ducalibus venerandis, aliisque bonis clericis per Poloniam memorandis, presentis auctor opusculi: sic „bona temporalia preterire,“ ut liceat expedite de caducis ad permanencia transilire.

(str. 242. 3.) — Gallus nie „„pisał, bojąc się, aby go nie oskarzono, że darmo chleb polski zjada, ne frustra panem Poloniae manducaret,“‚‘ jak się autor domyśla, lecz pisał, jak wyraźnie powiada, „nie dla tego, aby pozyskał chwałę, ani by rodzimy swój kraj i rodziców wychwalił, lecz aby do miejsca swego pobytu (?) [może do klasztoru ?] przywiózł jakiś rezultat zatrudnień swoich 3), (t. j. dzieło swoje); pisał, „aby nie próżnować, aby ćwiczył się ciągle w opowiadaniu, i aby nie darmo jadł chleb polski 4);“ napisał nareszcie dzieło swoje, aby się przyczyniło do wysławienia nowéj jego ojczyzny (czyli Polski) i i panowników jéj 5).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

3) Tantum opus non ideo cepi, ut per hoc fimbrias mee pussillanimitatis dilatarem, nec ut patriam vel parentes exul apud vos et (?) peregrinos exaltarem, sed ut aliquem fructum mei laboris ad locum mee professionis reporturem.

4) Str. 238... hunc laborem suscepi, ut ocium eviturem, et dictandi, consuetudinem conservarem, et ne frustra panem Polonie munducarem.

5) Str. 129.: „Igitur opusculum, almi patres! stilo nostre pussilanimitatis „„ad laudem principum et patrie nostre“ “ pueriliter exaratum.“

POPRAWKI.

Do numeru 26 wkradły się następne błędy: W artyk. do lit. zagr. ma być zamiast: Dla ludów i t. d., Ludy w oświacie przodkujące mają dla pozostałych po za niemi te same powinności, jakie dla niedoletnich usamowolnieni. Na stronie 206 w przypisku, zamiast: w historycznéj lit. humorystycznéj, ma być: w historyi lit. humor. Na str. 208. przypisek 7 zamiast: 1336 (?) ma być 1376 (?) — Na str. 216. w No. 27. w doniesieniu o Wallhalli zamiast Emerandy, czytać trzeba: Maechtildis, a po wyrazie jakiegoś dodać: św. Emeranda. (Dodajemy tu, że te błędy nie z winy drukarni pochodzą.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.